

KWIAT NĘDZY

(Ciąg dalszy).

POWIEŚĆ.

Wzruszona i przerażona chciała uciec, lecz Zosia i Sabinka zbliżyły się do niej, patrząc na nią zażawionemi oczami.

— O, moje biedne małe! — rzekła. — Pragnę wam nieść pomoc. Niech babka wasza pozwoli, bym uczyniła dla was to, co uczyniłabym dla moich własnych dzieci, gdybym je posiadała... gdybym je mieć mogła. Nie mam dzieci. Jestem starą panną i za mąż nie wyjdę nigdy. Niech więc babcia mi pozwoli was kochać. Chciałabym was obie... i waszego braciszka... który wlepił we mnie oczy, ale lęka się przystąpić do odepchniętej i wypędzonej... pragnęłabym was wychować, otoczyć macierzyńską opieką, przenieść do domu mego ojca...

— Nie, nie!... Wyjdź pani stąd i niech noga tu twoja więcej nie postanie! — krzyknęła znowu ślepa. — Jesteś córką Piotra i siostrą Kazimierza Molskiego, którymi pogardzam, których przeklinam... Wszystkich was nienawidzę!... Rozumiesz pani, nienawidzę... Wyjdź!... wyjdź stąd czempredzej!

Dziewczynki przypadły do kolan ledwie dyszącej babki zaczęły ją uspokajać pieścizotami.

Eugenia zbiegła ze schodów na wskrós przejętą okropną sceną.

Karetka czekała na nią przed bramą. Powiedziała stangretowi, żeby odjechał, bo ona pójdzie pieszo do domu... Potrzebowała powietrza! Czując, że musi iść, poruszać się, ochłodzić na mrozie pożerając ją gorączkę, ukoić ból ściskający jak w żelaznych kleszczach biedne jej serce.

Mróz zwolnił nieco. Od czasu do czasu wiatr, nadlatujący od Wisły, zganiał drobne płatki wirującego w powietrzu śniegu, w gęsty, kłębiący się tuman, który następnie opadał wśród chwilowej ciszy, pokrywając bruk i chodniki szklącą się, białą powłoką.

Płomyki gazowe migotały w latarniach jaskrawym blaskiem.

Pod jedną z nich, na rogu Chmielnej i Nowego Świata, panna Molska — przeciskając się ostrożnie w pośród licznych w tym miejscu przechodniów — zatrzymać się musiała nagle przed zagradzającą jej drogę młodą osobą, z pakietem pod pachą, która na widok Eugenii krzyknęła radośnie: — Genia!

— Frania! — odpowiedziała zatrzymana nieco ciszej.

Franciszka i Eugenia znały się oddawna. Zaprzyjaźniły się jeszcze na pensyi. Nazywano je niegdyś — jak małe, zielone papużki — „nierozdzielni“. Tak było istotnie, aż do chwili, w której Frania przestała należeć do tak zwanego „wyższego towarzystwa“, wyłączona z niego przez niespodziane ubóstwo i jakąś niepojętą, a przez warszawskie plotkarki nie zbadaną tajemniczość istnienia, która w świecie szczęśliwych zmieniła dawniej okazywaną jej uprzejmość i życzliwość, na obojętność, powolne oddalanie się i w końcu na zupełne zapomnienie. Eugenia jednak, dobra i tkliwa, nie ulegająca samolubnym wpływom wielkomiejskiego społeczeństwa, okazywała zawsze Franciszce — o ile kiedy niekiedy się spotykały — dawną serdeczność. I teraz, pomimo moralnego zgnębienia, w jakim pozostawała jeszcze, powitała ją przyjaźnie.

— Wstąp do mnie, choćby na chwilę — rzekła Frania. — Mam ci tyle do powiedzenia... wprawdzie nie wesołych rzeczy, lecz z którymi oddawna pragnęłam ci się zwierzyć, bo ty jedna masz zacne serduszek i pewno mnie pocieszysz.

— Chętnie, moja droga... jeśli tylko potrafię. Wolnym krokiem przesunęły się, w poprzek ulicy, pomiędzy pędzącymi w lewo i prawo powozami i dorożkami, na chodnik przeciwnie idąc Nowym-Światem dotarły do Ordynackiej. Tu — za cyrkiem — zatrzymały się przed domem o skrom-

nej powierzchowności i weszły na trzecie piętro. Frania wyjęła klucz z kieszeni i drzwi do swego pokoiku otworzyła.

— Wejdz! — prosiła. — Zaraz lampę zapalę. W chwilę potem siedziały przy stoliku, nakrytym kolorową serwetą, na którym Franciszka przyniesiony z sobą pakiet położyła.

— To robota zamówiona u mnie, hafty do wyprawy dla pięknej i bogatej żydówki, która wkrótce wychodzi za mąż — rzekła Frania, wskazując na zawiniątko. — Zmęczona jestem chodzeniem, a jeszcze bardziej czekaniem na obstalunek... Pozwól, że odpocznę momentek.

Franciszka Bogajewska liczyć mogła najwyżej lat dwadzieścia siedm do dwudziestu ośmiu. Musiała być niegdyś bardzo piękną, lecz praca i zmartwienia zmieniły ją widocznie bardzo. Twarzyczka wydawała się zwiędłą, jak kwiat jesieni zwarzony przedwczesnym mrozem. W czarnych oczach dostrzedz było łatwo wielkie znużenie, wywołane bezsensownie spędzonymi nocami nad pracą. Blask ich przyćmiły łzy, które często zalewać się musiały.

Umeblowanie schludnej izdebki, pomimo kilku cenniejszych drobiazgów, przypominających dawniejszą zamożność, świadczyło o niedostatku.

Lokatorowie całego domu szacunkiem otaczali młodą kobietę, zawsze czarno ubraną i zawsze smutną.

— Ciężę się bardzo, żeś do mnie wstąpiła — rzekła dzwicznym głosem. — Od dni kilku tak mi jakoś ciężko na sercu, że rady sobie dać nie mogę. Prawie co dzień wybierałam się do ciebie, lecz za każdym razem odwiedziny moje odkładałam na później, bo powiem ci szczerze, boję się twego ojca.

— Ojciec mój nie zna cię, moja droga, bądź jednak przekonana, że moją, tak dobrą, jak ty przyjaciółkę, przyjmie życzliwie.

— A może na jego życzliwość nie zasługuję! Zresztą, nie robię sobie złudzeń; wiem, że muszę żyć w samotności. Ty jedna pocieszałaś mnie nie raz, wzbudzając w sercu mojem wiarę i otuchę.

— Dziwić ci się nie można, że często tracisz ufność w ludzi, mało bowiem kto przeżył tyle zawodów...

— O, tak! życie nie karmiło mnie słodyczami. Wlekło się prawie ciągle czarnym pasmem smutków i rozczarowań.

— A jednak praca cię uspokaja i krzepi. Już w czternastym roku życia ciężko pracowałaś. To też wzbudzasz w tych, co cię dobrze znają, cześć prawdziwą. Ja przynajmniej z najgłębszym uznaniem pochylam przed tobą czoło.

— Ba, moja Geniu, ty znasz tylko lata mojej pierwszej młodości; nie wiesz, co następnie przecierpieć musiałam... Ach, raz nareszcie wypowiadam się przed tobą! czuję bowiem gwałtowną potrzebę wyjawienia ci moich udręczeń ukrywanych dotąd w piersi.

Wzięły się za ręce i zbliżyły do okna, wychodzącego na ulicę. Przysłaniała je skromna, biała, muślinowa firanka.

— Jak widzisz w pokoiku tym mogę pracować swobodnie, bo ulica cicha — mówiła Bogajewska. Czasem tylko, wieczorem, dolatuje do mnie gwar publiczności, oraz turkot powozów i dorożek, wyruszających z pod cyrku po przedstawieniu... a jednak nie mam spokoju ani na chwilę.

— Jak dawno tu mieszkasz?

— Od czasu, jak jestem sama.

— Sama, przecież jesteś od śmierci rodziców, którzy osierocili cię, straciwszy całe swoje mienie.

— Tak... lecz ojciec, resztą kapitału, jaka mu pozostała po sprzedaży ziemskiego majątku, spekulował jeszcze czas jakiś w Warszawie. Zrujno-

wany w końcu do szczytu w przedsiębiorstwach budowlanych, o których nie miał pojęcia, zakończył życie samobójstwem... — Otarła łzę kręcącą się w oczach. — Mama, w parę tygodni potem rozchorowała się z rozpaczy — i umarła.

Zamilkła na chwilę, wzruszona bolesnym wspomnieniem. Następnie ciągnęła dalej:

— Ze sprzedaży pozostałych ruchomości doręczył mi nasz adwokat trzysta rubli. W domu, w którym mieszkaliśmy, całe pierwsze piętro zajmowała modniarka, podejmująca się wielkich robót konfekcyjnych i bielizny damskiej na export do odległych gubernii rosyjskich. Założyła przytem i szkołę haftu. Dowiedziawszy się, że posiadam trochę pieniędzy, zaproponowała mi, żebym je u niej ulokowała, przyrzekając, że wzamian kształcić mnie będzie w swoim fachu. Przystałam... Byłam wówczas, jak wiesz, bardzo młoda i niedoświadczona. Wtedy ty, wyjechałaś z matką zagranicę. Straciłam cię z oczu na lat kilka.

— Wiedziałam o tem wszystkim.

— A prawda! już ci to raz opowiadałam. Proszę cię jednak, nie przerywaj mi... Czuję ulgę, gdy mówię z tobą o moich nieszczęściach...

Słucham cię!... słucham z uwagą, moja biedna Franiu.

— Życie moje stało się pasmem ciągłych męczarni! Wyzyskana niegodnie, często umierająca z głodu, bo moja chlebowodawczyni skapiła mi nieraz najskromniejszej strawy, używaną byłam na posyłki i od rana do wieczora biegałam z pudełkami, niekiedy bardzo ciężkimi, na pocztę, na kolej, do sklepów i do miejskich klientek. Dorywczol tylko, prawie bez wskazówek, uczyłam się sama szyć i haftować... Tak upłynęło dwa lata. Pewnego wieczora, w czasie gwałtownej ulewy... Słuchaj mnie, droga moja uważnie... gdy przechodziłam przez plac teatralny, niosąc robotę, najechała na mnie niespodzianie pędząca z pod handlu Stempkowskiego dorożka. Zmartwiała od strachu, zdołałam zaledwie umknąć się jej z drogi i wyskoczyć na chodnik, skwer otaczający. Pudło z rąk mi wypadło. Deszcz przemoczył mnie do nitki. Stałam oszłomiona, bezradna, nie wiedząc co począć. Wtem, jakiś słodki głos szepnął mi do ucha: „Co ci jest mała? Pobladałaś... Czyś chora?“ Podniosłam oczy i ujrzałam przed sobą człowieka trzydziestoletniego, patrzącego na mnie z dobrocią. Schylił się, wziął pod ramię pudełko, przywołał dorożkę i wsadził mnie do niej... Zanim zdołałam sobie zdać sprawę co się stało, jechałam już z nieznanym ku Alejom. On, widząc moje wzruszenie, przemawiał bardzo grzecznie i mile. Mówił, że mógłby być prawie moim ojcem, więc nie mam powodu go się lękać, a gdy wskazałam mu adres mojej chlebowodawczyni, odwiózł mnie przed dom przez nią zamieszkaną i pożegnał przyjaznym uściśnieniem ręki...

— Uczciwy człowiek! — szepnęła Genia.

— W ciągu kilku miesięcy spotykałam go codziennie na mojej drodze. Zbliżał się do mnie, zawsze smutny i bardzo uprzejmy... a ja powoli przyzwyczaiłam się do niego tak, że gdy pewnego dnia się nie zjawił, uczułam się tem boleśniej dotkniętą. To też ucieszyłam się całym sercem, gdy go nazajutrz ujrzałam oczekującego na mnie przed naszym domem. Wówczas zrozumiałam, że go kocham... On mnie pokochał także... a przynajmniej tak mówił... Byłam sama na świecie, bez opieki, bez wsparcia, bez przyszłości, więc uwierzyłam w miłość Bogajewskiego... i zostałam jego żoną. Wzięliśmy ślub w kościele św. Aleksandra. W ciągu kilkomiesięcznego z nim pożycia czułam się na wyraz szczęśliwą... aż do przekłętą dnia, w którym...

— Mów!... mów dalej!